Nr. 35. Sobota, dnia 26-go sierpnia 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę jedenastą po Ziel. Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Pawła do Koryntyan, rozdział XV, wiersz 1—10.

Bracia! Oznajmuję wam Ewangelię, którąm wam opowiedziałem, któraście też przyjęli i w której stoicie. Przez którą też zbawienia dostępujecie; jeśli pamiętacie, jakim obyczajem przepowiedziałem wam, chybabyście próżno uwierzyli. Bo najprzód podałem wam, com też wziął, iż Chrystus umarł za grzechy nasze podług pisma: a iż pogrzebiony jest, iż też powstał z martwych trzeciego dnia według pisma. A iż widziany jest od Cephy, a potem od jedenastu. Potem widziany był on więcej niż od pięciu set braci wspólem, z których wielu ich trwa aż dotąd, a niektórzy zasnęli. Potem był widziany od Jakóba, potem od wszystkich był widziany i odemnie jakoby od poronionego płodu. Bom ja jest najmniejszy między Apostoły, który nie jestem godzien, aby mnie zwano Apostołem, albowiem prześladowałem Kościół Boży. A z łaski Bożej jestem to, com jest, a łaska Jego we mnie daremną nie była.

EWANGELIA

u św. Marka rozdział VII, wiersz 31—37.

Onego czasu wyszedłszy Jezus z granic Tyryjskich, przyszedł przez Sydon do morza Galileyjskiego, przez pośrodek granic Dekapolskich. I przywiedli Mu głuchego i niemego, a prosili Go, aby nań rękę włożył. A odwiódłszy go na stronę od rzeszy, wpuścił palce w uszy jego: a splunąwszy, dotknął języka jego. A wejrzawszy w niebo, westchnął, i rzekł mu: Effeta, to jest, otwórz się. I wnet się otworzyły uszy jego, i rozwiązała się związka języka jego, i wymawiał dobrze. I przykazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale, im On więcej im zakazywał, tem więcej rozsławiali, i tem bardziej się dziwowali, mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuche uczynił, że słyszą, i nieme, że mówią.

NAUKA.

Rozmaicie Pan Jezus czyni cuda swoje i okazuje, że jest Panem wszechwładnym nad wszystkiem stworzeniem. Czasem czyni tak, jak onemu trędowatemu, któremu rzekł tylko: „Chcę, bądź oczyszczon"; innym razem, jak setnikowi, oznajmia tylko: „Idź, a jakoś uwierzył, niech ci się stanie"; najczęściej uzdrawia Pan Jezus chorych dotknięciem ręki, jak to widać z tego, że w dzisiejszej Ewangelii proszą Go, „aby nań rękę włożył", ufając, że to zupełnie wystarczy, aby głuchoniemy, którego mu przywieźli, uzyskał zdrowie. Tym razem stosuje Pan Jezus cały szereg ceremonii, które wszystkie są pełne zbawiennych dla nas nauk.

Mianowicie „wziąwszy go na stronę od rzeszy", — bo kto pragnie usłyszeć głos Boży, który jest „jako głos wiatru cichego", potrzeba, aby usunął się od wrzawy i ludzi; i nie nauczy się nigdy „mówić dobrze", kto wiele z ludźmi, a mało na samotności rozmawia z Bogiem i z duszą własną. „Wpuścił palce swoje w uszy jego", jakby chciał wyjąć z nich to, co je zatkało, tak, że nie może się przedrzeć do wnętrza żaden głos; chociaż nieraz głośno bardzo Pan Bóg do serca grzesznika przemawia, on jednak Go nie słyszy, a tem mniej słucha, bo w uszach jego wciąż jeszcze dźwięczy to wszystko, czego przez długie nieraz lata nasłuchał się przeciw wierze i dobrym obyczajom. „A splunąwszy, dotknął języka jego"; śliny gdy w ustach zabraknie, to i zdrowemu niepodobna mówić, ale ledwie bełkotać potrafi; ślina z ust Pańskich potrzebna była, żeby ten dotychczas niemy mógł mówić dobrze i zbożnie. „A wejrzawszy w niebo", żeby Ojcu niebieskiemu, do którego wszystko zawsze odnosił, dać chwałę, „westchnął" już to z politowania nad głuchoniemym, już też z gorącości modlitwy wzniesionej do Boga. „I rzekł mu: Effeta! to jest otwórz się". Jest to już rozkaz stanowczy, który sam jeden wystarczał bez poprzednich tych ceremonii, tak samo, jako i każda z tych ceremonii byłaby wystarczyła, jeżeliby w ten sposób Pan Jezus był chciał uzdrowić chorego!

Ceremonie są potrzebne nie Panu Bogu, ale nam ludziom, którzyśmy złożeni z duszy i ciała, i to tak, że dusza jedynie przez zmysły ciała nabiera świadomości o tem, co po za nią się dzieje i na zewnątrz też przez członki i zmysły działa. Dlatego też w Kościele Bożym tak Pan Bóg postanowił, że i Sakramenta św. i Msza św. i wszelkie nabożeństwa odbywają się z pewnemi ściśle przepisanemi ceremoniami czyli obrządkami. Ceremonie te nie stanowią wprawdzie istoty ani ducha rzeczy świętych, ale mają podtrzymywać w nas powinne dla nich poważanie i odpowiednią uwagę. Do tego naturalnie potrzeba, żeby je znać i rozumieć, a zarazem, żeby je zachowywać, o ile to do każdego w szczególności należy. Niestety pełno jest takich, którzy nie mają wyobrażenia o ceremoniach, a może nawet o istocie i znaczeniu Mszy świętej; co nie wiedzą, jak zachować się w kościele, że np. wszedłszy do kościoła, należy się przeżegnać wodą święconą i przyklęknąć przed Przenajświętszym Sakramentem; inni nie mają pojęcia, jak sobie radzić, kiedy podają dziecię do Chrztu św. lub kiedy przystępują do ślubu. Ilekroć komu nieobytemu ze zwyczajami dworskimi wypadnie stawić się na dworze cesarskim, każdy starannie dowiaduje się, jak tam powinien się zachować, żeby nie narazić się na zawstydzenie, albo choć tylko na śmieszność, a przecież cóż to znaczy w porównaniu z Panem Bogiem i Jego świątynią.

„I mówił dobrze". O języku siła złego mówi Pismo św. Mianowicie Jakób św. Apostoł tak pisze:

„Jeśli kto w słowie nie upada, ten jest mąż doskonały; może też wędzidłem kierować wszystko ciało. A jeśli koniom wędzidła w gęby wprawiamy, aby nam posłuszne były, i wszystko ich ciało obracamy. Oto i okręty, wielkie będąc, i gdy je srogie wiatry pędzą, obracane bywają od małego steru, gdzie wola sterującego zechce. Tak i język, małyć wprawdzie członek jest, ale wielkie rzeczy podnosi. Oto jak mały ogień jako wielki las spala. I język jest ogień, powszechność nieprawości. Język postanowiony jest między członkami naszymi, który plugawi wszystko ciało i zapalony od piekła, zapala koło narodzenia naszego. Albowiem wszystkie przyrodzenie zwierząt, i ptaków, i płazów, i innych uskromnione bywa i ukrócone jest od przyrodzenia ludzkiego. Lecz języka żaden z ludzi nie może ukrócić; złe niespokojne, pełen jest jadu śmiertelnego. Przezeń błogosławimy Boga i Ojca: i przezeń przeklinamy ludzi, którzy na podobieństwo Boże sprawieni są; z tychże ust wychodzi błogosławieństwo i przeklęctwo. Niema to tak być bracia moi. Izali źródło z tegoż ponika wypuszcza słodką i gorzką wodę? Izali może, bracia moi, figa winne jagody rodzić: albo winna macica figi? Tak ani słona słodkiej wody nie uczynić może. Który mądry i ćwiczony między wami? Niech pokaże z dobrego obcowania sprawę swą w cichości i mądrości. Lecz jeżeli zazdrość gorzką macie i spory by były w sercach waszych: nie chciejcie się chlubić i kłamcami być przeciwko prawdzie." Prócz przekleństwa, swarów i kłamstwa, o których tu Apostoł wspomina, wiele innych jeszcze jest grzechów językowych, jako to: plotki, obmowy i potwarz, rozmowy i żarty niewstydliwe, podmawianie do niezgody i nienawiści, herezye i bluźnierstwa przeciw Bogu i wierze świętej, buntowanie przeciw władzy duchownej albo i świeckiej, krytykowanie wszystkiego i wszystkich itd.

Przykazał Pan Jezus, nie rzeszom, od których był się z głuchoniemym onym usunął, ale tym, którzy chorego do Niego przyprowadzili i byli świadkami cudownego uzdrowienia, żeby nikomu nie powiadali, co byli widzieli; bo nie lubi Pan Jezus rozgłosu, ale zachowuje sam to, co wszystkim zaleca: „niechaj nie wie lewica twoja, co prawica twoja czyni". Pomyśl, jak ty, całkiem przeciwnie, nietylko pragniesz pochwał ludzkich i przykro ci jest, jeżeli minie cię tyle pożądane przez ciebie uznanie mniemanych zasług twoich, ale gorzej jeszcze, przechwalasz się nieraz nawet z ujmą prawdy z rzeczy, na które nigdy się nie zdobyłeś. I cóż ci pomoże, że ludzie o tobie wysokie mają wyobrażenie, wyższe, niż na nie zasługujesz, jeżeli Pan Bóg jeden wie doskonale, coś wart, a w najlepszym razie, dozwoliwszy ci cieszyć się próżną u ludzi chwałą, w wieczności będzie zmuszony powiedzieć ci: „wziąłeś zapłatę swoją".

„Dobrze wszystko uczynił." Przykazaniem swojem o zamilczeniu cudu doznanego nie chciał Pan Jezus onych ludzi zobowiązywać pod grzechem, bo oni przecież doznawszy dopiero co tak wielkiej łaski, nie byliby pewnie chcieli Pana Jezusa obrazić grzechem. Z serca wezbranego podziwem i wdzięcznością rozgłaszają, co się stało i porywają lud wszystek do wychwalania Pana Jezusa i wyznawania Mu, że „dobrze wszystko uczynił". Oby i was można przekonać, że cokolwiek Pan Jezus względem was zarządza, czy nawiedza krzyżami, czy też darzy powodzeniem, wszystko dobrze, bo z dobrego zrobił serca.

X. I.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

XX.

Tego dnia Pascal z siostrzeńcem umyślnie wyszli w pole, aby Piotrusia zostawić w towarzystwie Milci, na którą liczyli, że ułagodzi jego boleść.

Biedny chłopiec, milczący, zgnębiony, pozwolił jej mówić; ale słowa dziewczęcia kazały mu zapominać o cierpieniu, i wsłuchawszy się w słodkie te dźwięki, dziwił się sam sobie, że poza słowami swej narzeczonej o niczem innem myśleć nie mógł, że mimowolnie śledził za ich treścią, jak liść porwany wirem wody płynie nieświadomie z biegiem strumyka.

Siedzieli we dwoje w kuchni, przed wygasłem ogniskiem; on oparł głowę na kominku, blady i znękany, ożywiał się na widok pięknego dziewczęcia, jedynej istoty, którą kochał na tym świecie.

Ona tyle tylko widziała, że Piotruś jej jest smutny i zgnębiony, chciała zmniejszyć boleść jego i pomimo, że rana była świeżą jeszcze, powiodło się jej o tyle, że chwilowo zapominał o swej boleści. W takich to właśnie ciężkich przejściach, kiedy ziemia zdaje się usuwać z pod nóg naszych, kiedy serce kraje się z boleści, kiedy strapiona dusza szuka naokół w otaczającej ją próżni, wtedy to jedna dłoń przyjaźni wyciągnięta, jeden wyraz współczucia, sprawiają w sercu jakieś dręczące zadowolenie, w którem człowiek zły jest na siebie, iż mógł zapomnieć o strasznym bólu, a przecież, jak tonący czepia się konwulsyjnie tej jedynej deski ratunku.

Serce wówczas potrzebuje koniecznie współczucia, a chociażby współczucie to było jak najmniejsze, wystarczy mu ono, bo trzeba być wielkim samolubem, aby módz cierpieć samotnie!

Uczucie wszakże, jakie tkwiło w sercu Milci dla Piotrusia, nie było wcale odrobiną życzliwością, poświęcenia, lub miłości — nie, było to zupełne zaparcie się samej siebie dla ukochanego, poświęcenie bez granic, miłość czysta i święta, zdolna ukoić największe i najboleśniejsze cierpienia.

W miarę, jak Milcia mówiła, Piotruś zdawał się ożywiać; słuchał jej, patrzał na nią i podziwiał.

Ona uśmiechała się doń melancholijnie, a uśmiech ten przemawiał do niego: „Cierpisz, serce twe złamane, dusza strapiona, ale ja cię kocham; rozpacz masz w sercu, łzy w oczach, ale ja cię kocham; utraciłeś nagle połowę swej duszy, ale ja, druga jej połowa, ja kocham ciebie!" Zdawało mu się, że słucha cudownej muzyki, i zapominał o wszystkiem. A w życiu człowieka chwila zapomnienia to szczęście prawdziwe!...

XXI.

Nazajutrz przypadał smutny i przenikający dzień pogrzebu. Lorinowie z dziećmi, w towarzystwie ojca Terrade i kilku przyjaciół z Saint-Alvere, udali się do Vers. Jasiek przybył także. Wiedział, że zobaczy tam Milcię.

W ubogiej izdebce stała prosta sosnowa trumna, a obok niej na ziemi, naczynie z wodą święconą, którą każdy z wchodzących, według miejscowego zwyczaju, robił znak krzyża nad zwłokami.

Piotruś, blady, sztywny, nieruchomy z boleści, stał obok Lorinów. Placyd trzymał go pod rękę; Milcia szeptała od czasu do czasu: „Odwagi!" —

on uśmiechał się dziwnie jakoś, jakby chciał powiedzieć: „Będę odważnym”. Jasiek, wmieszany w tłum, pożerał oczyma Milcię; umyślnie trzymał się zdala, bo sam niewidziany, swobodniej mógł się przypatrywać dziewczynie, której sam widok upajał go aż do szaleństwa.

Nadszedł proboszcz, grabarze wzięli trumnę i orszak ruszył przez las ku niezbyt odległemu cmentarzowi.

Tuż za trumną szedł Piotruś z odkrytą głową, pochylony, jakby złamany cierpieniem. Milka patrząc na niego nie mogła powstrzymać płaczu.

— Dobry syn — mówili jedni.

— Nieboszczka też poczciwa była kobieta — dodawali drudzy.

Spuszczono trumnę do przygotowanego grobu.

Piotruś machinalnie padł na kolana — za jego przykładem wszyscy obecni uklękli.

— Pokój wieczny raz jej dać Panie! — zaintonował proboszcz.

— Amen! — odpowiedziano chórem.

Tylko syn nie odpowiedział. On płakał tymczasem.

Ksiądz pokropił trumnę, przeżegnał ją, odczytał po łacinie modlitwę za umarłych i odszedł.

Piotruś nic nie widział, nie słyszał.

Odmawiał po cichu wszystkie modlitwy, jakich nauczyła go matka, kiedy był dzieckiem jeszcze.

Każdy z obecnych podchodził do otwartej jamy, z ostatniem pożegnaniem dla biednej zmarłej.

On jeden klęczał nieruchomy.

Nareszcie grabarz rzucił pierwszą łopatę ziemi na trumnę. Oh! Na ten łoskot straszliwy, z którym nic w życiu porównać się nie da, Piotruś podniósł się. Nie płakał już — łez mu brakło.

Wziął gałązkę zmazaną w wodzie święconej, przeżegnał nią trumnę matki, a potem zwrócił się do Lorinów, zalewających się łzami:

— Ah, przyjaciele moi, uprowadźcie mnie stąd.

Był to ostatni wysiłek woli...

— Ehe! — myślał sobie Jasiek, idąc z daleka za Lorinami, wracającymi z Piotrusiem do La Queyrie. — Żebrak ten nie jest już teraz synem wdowy, niema więc wyłączenia od wojska... Jeżeli go wezmą, Milcia będzie doskonałą partyą!...

XXII.

Tegoż wieczora Piotruś zaszedł do kościoła i pozostał w nim długo, spoglądając na miejsce, gdzie zwykła była siadać jego matka. Ta godzina żarliwej modlitwy ulżyła mu wielce. Przy wyjściu spotkał we drzwiach kościelnych proboszcza z Saint Alvere. Staruszek podał mu rękę i przemówił z serdeczną życzliwością:

— Pamiętaj zawsze, mój Piotrusiu, że jedyna pociecha nasza jest w owej księdze, którą otrzymałeś odemnie, a która zowie się Pismem świętem.

Tyle było niekłamanego uczucia w tych kilku słowach, że wzruszony Piotruś zdołał odpowiedzieć tylko pełnem wdzięczności spojrzeniem; odszedł też uspokojony przeświadczeniem, że matka jego szczęśliwą jest tam wysoko i że spogląda na swego jedynaka.

XXIII.

Upłynęło blisko pół roku. Jeżeli może być jakie lekarstwo uniwersalne, to jest niem z pewnością czas, leczący wszelkie cierpienia, a ludzie najmniej niewdzięczni nawet, ulegaja temu prawu koniecznie, mocą którego pamięć o zmarłych w sercu człowieka również prędko przemija, jak szybko grób świeży zielenią i kwieciem porasta. Nie dlatego, aby egoizm czynił nas głuchymi na owe pozagrobowe głosy, lecz że boleść, podobnież jak sen, w pierwszej chwili odurza człowieka, a potem, rana moralna zabliźnia się z dniem każdym tak samo, jak rany fizyczne.

Z upływem czasu, zmarli stają się dla nas tylko nieobecnemi. Oswajamy się rozmawiać o nich, jak o drogiej nam osobie, z którą rozstaliśmy się niedawniej jak wczoraj, i którą jutro znów mamy zobaczyć. Zdaje się, że one żyją jeszcze, że przebywają z nami, weseli lub smutni, przy tem samem codziennem zajęciu, jak przywykliśmy widzieć ich zawsze. Rana już już zagojona: można dotknąć się jej ręką, już się nie zajątrzy. Zresztą, wiąże nas zawsze ze światem jakieś inne uczucie, może wczoraj dopiero zrodzone, a wydające nam się, iż istniało od niepamiętnych czasów i że wiecznie trwać będzie. Takie to już prawo natury. W miejsce jednego więdnącego kwiatu rozwija się inny, i wszystko się odnawia, wszystko przetwarza, według z góry nakreślonego porządku...

Osieroconemu Piotrusiowi pozostała rodzina Pascalów, to jest przyjaźń — została przedewszystkiem Milcia, to jest miłość. W pierwszych chwilach, biedny chłopiec cierpiał niezmiernie na myśl, że więcej nie ujrzy tej, którą tak mocno kochał; długo jeszcze nie mógł wspomnieć bez płaczu, że rozłąka ta ma trwać wieczność całą, ale zwolna, jak to zawsze bywa, serce jego budziło się do nowego życia w przyjaznem kółku Lorinów, pod wpływem czystej i świętej miłości ukochanego dziewczęcia.

Z dniem każdym smutek się jego zmniejszał, łzy zaschły, w serce spokój wstępował. Pewnego wieczoru, gdy rozmawiał na tarasie z narzeczoną, uśmiech zawitał na twarz jego. Innym razem, marząc o przyszłości, zapomniał o ubiegłych dniach smutku. I tak zwolna odzyskiwał dawną swą wesołość, swobodną rozmowę, śmiech szczery i serdeczny, a poczciwa Milcia, której dziełem była ta przemiana, cieszyła się w duchu z tak pomyślnej rekonwalescencyi.

Po upływie pół roku wszystko w La Queyrie powróciło do dawnego trybu, z tą jedyną tylko zmianą, że do wspólnego ogniska jedno więcej dziecko przybyło.

Placyd zabrał się do roboty w polu — i pracował tak dzielnie, jakby przez całe życie niczem innem się nie zajmował. Od dawna już zmienił mundur strzelecki na niebieską bluzę wieśniaczą, szablę na pług lub sochę rolnika.

Jedno tylko wymógł na nim ojciec Pascal, że przy bluzie musiał zatrzymać czerwoną wstążeczkę, i tą tylko zaszczytną odznaką różnił się Placyd od innych wieśniaków, obok ruchów żołnierskich, których rozumie się, nie mógł się pozbyć tak łatwo.

Lubiany był bardzo w Saint Alvere, gdzie nie nazywano go inaczej, jak brygadyerem, a Pascal z wielką dumą pokazując swym gościom parę pistoletów arabskich przywiezionych przez Placyda i zawieszonych na paradnem miejscu w sali, nie omieszkał dodawać zawsze:

— To jego broń. Zdobył ją z narażeniem własnego życia.

Placyd i Piotruś pokochali się serdecznie, lubili z sobą gawędzić, a najmilszym przedmiotem ich rozmów była zawsze ta, nad którą obaj nic droższego nie mieli w świecie, ukochana ich Milcia.

— Spodziewam się, że będziesz dla niej dobrym mężem — mówił Placyd, z właściwą sobie żołnierską otwartością.

A narzeczony odpowiadał, uśmiechając się jak człowiek głęboko przeświadczony o tem, co mówi:

— Bądź spokojny. Tak mocno ją kocham, że nikt inny nie mógłby jej szczęśliwszą uczynić.

— Wierzę ci, mój drogi. Ale ani domyślasz się, jaką przyjemność sprawiają mi twoje słowa. Z duszy pragnę, aby przyszłość mojej siostrzyczki jasną była jak niebo Algeru, a w przekonaniu, że ty zapewnisz jej taką przyszłość... jak ci to powiedzieć... szczęśliwszym się czuję, niż w owej chwili, kiedy stary Bugeand ten krzyż mi przypinał. Daję ci żołnierskie słowo na to.

Innym razem pytał Piotrusia:

— Ileż masz pieniędzy na zagospodarowanie się?

— Półtorasta talarów wszystkiego. Niewielkie to rzeczy.

— Pewno, że nie...

— Ale mając już coś, łatwiej zarobić drugie tyle; a przy gorliwej pracy i o grosz nietrudno.

— I to prawda, mój kochany, tylko że każdą rzecz trzeba z dobrej i ze złej strony rozpatrzeć. Nię wiem, czy starzy mają dosyć pieniędzy na urządzenie wam gospodarstwa; przynajmniej nie zdaje mi się... A na wypadek, jeżeli przy losowaniu do wojska wyciągniesz zły numer?

— Ach, to losowanie... za trzy miesiące... E, nie, muszę wyciągnąć dobry numer.

— Życzę ci tego z całego serca. Ale jednakże, gdyby ci się nie poszczęściło? Zastępca kosztuje drogo... Cóż poczniesz w takim razie?

— Nie mówmy o tem, mój Placydzie. Na samą myśl o czem podobnem, zimny dreszcz mnie przechodzi. Pozwól mi łudzić się nadzieją, że dobry numer wyciągnę.

Mówiąc to Piotruś podobnym był do człowieka, zamykającego oczy, aby nie widzieć rowu, który przebyć musi koniecznie.

Placyd zrozumiał tę sytuacyę nie do pozazdroszczenia.

— Dobrze, nie mówmy więc o tem — krótko odpowiedział.

I zaczął w duchu rozmyślać, że Milcia byłaby bardzo nieszczęśliwą, gdyby musiała rozstać się z narzeczonym.

— Ba! — zawołał głośno po chwili namysłu. — Jeszcze do tego daleko... całe trzy miesiące!

XXIV.

Przeszły i one jednakże, bo czas, który zabiera z sobą cierpienia, często je także i przynosi. Trzy miesiące oddzielające biednego Piotrusia od tej stanowczej chwili, przeminęły również prędko, i nadszedł dzień, na który naznaczono, aby stawił się w Saint-Alvere dla zadośćuczynienia przepisom o służbie wojskowej.

Sam tylko Placyd towarzyszył mu. Starzy zostali na folwarku przy strapionej Milce.

Młodzi spisowi zchodzili się na placu przed merostwem, wszyscy w świątecznych strojach, z hałaśliwą wrzawą, jak ludzie pragnący zagłuszyć grożące im niebezpieczeństwo.

Około południa zjawił się Piotruś, cokolwiek blady, z uśmiechem na ustach, niezupełnie pokrywającym dręczący go niepokój; otoczyli go zaraz znajomi, witając nowego towarzysza.

— Pamiętaj, Piotrusiu — mówił do niego Mateusz, syn oberżysty — żebyś wyciągnął dobry numer, bo twoja Mileczka zapłakałaby się z żalu, gdybyś ją miał porzucić przed ślubem.

— A kto wie jeszcze — dorzucił inny — czyby czekała, dopóki nie powrócisz?

Nie mieli oni zapewne zamiaru dokuczenia Piotrusiowi, ale żarty ich tak bolesne były dla biednego chłopca, że w końcu odezwał się łagodnie:

— Proszę was, moi kochani, przestańcie o tem mówić.

Niedaleko stał Jasiek. Zbliżył się uśmiechnięty do rozmawiających i przywitał się z nimi.

— Nadeszła więc stanowcza chwila — zaczął. — Za godzinę los wasz będzie rozstrzygnięty. Słyszałem, Piotrusiu, że nie jesteś bardzo pewnym siebie?

— Jaki jestem, to jestem! — odparł z niechęcią Piotruś, starając się oddalić.

— Masz słuszność; ja też nie myślę ci tego ganić.

— Więc czegóż o tem gadasz? Daj mi pokój.

Jasiek udał, że nie widzi rozdrażnienia swego rywala, i nawpół złośliwie ciągnął dalej.

— Widać, że oni mieli racyę.

— Co za oni? — zapytał Piotruś.

— No, towarzysze nasi... Lanier, Esperon i inni; opowiadali właśnie, że widziano cię wczoraj wieczorem na drodze do Costo-Rasto, płaczącego jak dziecko, a kiedy ja broniłem cię, twierdząc, że to być nie może...

— Niepotrzebnie mnie broniłeś — odrzekł lekko rumieniąc się Piotruś. — Trzeba im było pozwolić mówić. Cóż mnie to obchodzi, co tam źli ludzie o mnie mówią!

— Tam bardziej — dodał Placyd, przyglądający się z boku Jaśkowi — że jeżeli komu nie podoba się co my robimy, może nam to sam w oczy powiedzieć, a z pewnością bez odpowiedzi nie zostanie. Wiadomość ta może posłużyć każdemu, któby się chciał wtrącić do nieswoich rzeczy. Rozumiesz mnie, Jaśku?

— Rozumiem — odparł chłopak, uśmiechając się złośliwie.

— To dobrze — zakończył sucho Placyd, odwrócił się od niego i uprowadził Piotrusia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻARTY.

SAMOBÓJCA PRZED SĄDEM.

Sędzia: Dlaczegoś się pan chciał powiesić, jak tylko zdołano pana wyratować, kiedyś się rzucił w nurty rzeki?

Oskarżony: Chciałem się, proszę łaski pana sędziego, wysuszyć, gdyż zmokłem bardzo, kiedym się topił.

POSZKODOWANY.

Chłopczyk (płacząc): Pański pies mnie ugryzł.

Przechodzeń: Musiałeś go uderzyć lub też podraźnić.

Chłopczyk: Wcale nie! ja go tylko podniosłem z ziemi.

Przechodzeń: W jaki sposób?

Chłopczyk: Za ogonek...